

Lidia Burska

Porachunki Tomasza Łubieńskiego

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (31), 108-111

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

przypominając opowiadanie Mackiewicza *Foux-pas ciotki Pafci*. Jednak, po doświadczeniu radzieckim i jugosłowiańskim uporeczywie powracanie do wizji szczęśliwie bytujących obok siebie narodów zrzeszonych w luźnej federacji jest po prostu ucieczką od problemu współczesnych nacjonalizmów.

Wydaje mi się także, że odkurzanie dawnych wzorów pozytywnych, w tym wypadku wzoru stosunków społecznych z czasów Wielkiego Księstwa (które co prawda przetrwały do XIX wieku), ma sens o tyle, o ile uda nam się przekształcić je we współczesną strategię życia jednostkowego czy zbiorowego. Witold Gombrowicz odwołując się do wzoru „idealnego szlachcica” kształtował nowoczesną postawę dwudziestowiecznego intelektualisty, „znużonego bałwochwalstwem nauki i niewolnictwem pożytku”.³ Włodzimierz Bolecki nie daje odpowiedzi na pytanie, jak realnie spożytkować „ideę krajową”. Jego czytelnik idealny wcale się zresztą o to nie upomina... Autor formułuje za to ostateczną puentę szkicu, głoszącą, że — „monoetniczny system narzucony Polsce po II wojnie światowej (...) przyniósł w konsekwencji nie tylko deformację mentalności zbiorowej, ale i pojedynczych ludzi”, którą odbieram jako prawdę nieco już dziś zbanalizowaną. O wiele bardziej przykry jest przecież fakt, że ciągle pragniemy reformować indywidualną i zbiorową mentalność bez uwzględniania realnych warunków społecznych, w jakich od dawna żyjemy.

Pięknych historii słucha się jednak z przyjemnością. Zahipnotyzowany czytelnik idealny szkicu Boleckiego kontentuje się grupową mitologią. Czytelnik konkretny na nowo studiuje Gombrowicza, by uczyć się od niego metody nieufnego myślenia i konsekwencji w głoszeniu prawd naprawdę niepopularnych.

Jacek Kopciński

Porachunki Tomasza Łubieńskiego

*Porachunki sumienia*¹ nie dają satysfakcji. To raczej popis retoryki niż opis naszej wyjątkowej sytuacji. Styl wydaje się autorowi ważniejszy od przedmiotu złośliwych polemik.

³ J. Błoński *Gombrowicz a etos szlachecki*, w: *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne*, Kraków 1994.

¹ T. Łubieński *Porachunki sumienia*, Warszawa 1994, Biblioteka „Więzi”.

O czym pisze Łubicieński? O tym, o czym od kilku lat piszą prawie wszyscy: o transformacji historycznej w Polsce i Europie Wschodniej. Temat jest wyzwaniem dziejowej chwili – i trudno się dziwić, że tak wiele umysłów usiłuje wyzwanie to podjąć. Ale i trudno się też pogodzić z faktem, iż dla wielu – zwłaszcza publicystów i dziennikarzy – wyzwanie oznacza pokonanie, obezwładnienie rzeczywistości historycznej mocą słów, sugestią stylu. Taki intelektualny romantyzm dobry jest może na początku drogi (w czasie, gdy w prasie podziemnej i paryskiej „Kulturze” zawzięcie flekował wszystkich Rafał Grupiński) – daje bowiem myśleniu pewien rozpęd, dynamikę polemik. Ale potem, siłą inercji, znosi często już tylko na mielizny powtórzeń, powieści. Jak w *Porachunkach sumienia*.

Książka Łubicieńskiego tak dalece wtapia się w obowiązujący od kilku lat styl pisania o naszej wschodnioeuropejskiej transformacji, że jej tytuł mógłby starczyć za nazwę naszego czasu, tej niecierpliwiej epoki tropienia „całej prawdy”, demistyfikacji fałszerców, lustracji i rozrachunków–porachunków właśnie.

Żałuję, że autor, którego bardzo cenię, nie wyczuł tej pułapki zbiorowego i mocno już zużytego stylu. Naszkicowany w eseju *Zacząć od siebie* wspólny portret polskiego intelektualisty (określanego przez pisarza jako „intello”) jest tylko powieleniem karykatury „pina”, jaką przed kilku laty grubą krechą narysował Rafał Grupiński. Że nie wspomnę już o Adolfie Rudnickim, który znacznie wcześniej zjadliwie wykpiwał w swoich „porachunkach” niedawnych pupilków reżimu, przeobrażonych w idoli opozycji. Jak długo można o tym samym i o tych samych (najczęściej zresztą bez podawania nazwisk, których należy się domyślać) i do tego podobną manierą zjadliwego pamfletu? Przecież w ten sposób – zamiast do sedna rzeczy, doprowadzić można tylko do aukcji słów. Kto powie mocniej, dosadniej, a jeszcze dowcipniej? Tu niewątpliwie Łubicieński pobije wielu, gdyż jego zjadliwość i złośliwość pozbawione są brutalnej dosadności, odznaczają się natomiast kulturą i dowcipem.

Poza problemem stylu nurtuje mnie także pewien problem moralny oraz poznawczy. Dlaczego z takim zacietrzewieniem polemici atakują ciągle tych samych starszych już panów, którzy bywali w gabinetach i salonach władzy, a potem na rautach w zachodnich ambasadach lub mszach dobroczynnych? Jak dochodzą prawdy o zmianie (koniunkturalnej, naturalnej) ich postaw i poglądów? Czym mierzą ich domniemaną czy prawdziwą pychę, arogancję, pogardę dla niedokształconego

społeczeństwa i niechęć do rezygnowania z przywilejów? Własnymi apetytami na ich micjsca? Uwielbieniem słów, które nie muszą liczyć się z rzeczywistością, stopniem przywiązania do narzuconej sobie roli prawego szeryfa w „mieście bezprawia”? Moje pytania odnoszą się nie tyle do książki Tomasza Łubieńskiego (choć i do niej także), ile do zbiorowego autora zmistyfikowanego portretu polskiego inteligenta.

Czy doprawdy, kilku facetów, z którymi mamy prywatne porachunki sumienia, i którzy zapewne zasługują na to, by ich zjadliwie wykpić lub nie podawać im ręki — czy tych kilku daje wystarczające powody, by grubą krechą rysować anonimowy portret wspólny? Portret taki obejmuje ludzi o podobnej biografii, ludzi do tego niezbyt dobrze urodzonych. Ale to przecież nie znaczy, że wszyscy oni są w równym stopniu oportunistami, koniunkturalistami, arogantami i strasznymi grzesznikami przeciw polskości i moralności — a taką właśnie, „globalną” ocenę sugerują młodzi, i co tu dużo mówić, fartowniej urodzeni polemiści. Żeby to nadużycie poszerzało jeszcze naszą wiedzę o minionej epoce i jej tajemnicach! Ale ono służy tylko zdynamizowaniu stylu. To za mało, by je usprawiedliwić.

Esej Łubieńskiego o Europach: Wschodniej i Zachodniej, wzajemnych złudzeniach chronionych przez żelazną kurtynę i późniejszych rozczarowaniach oraz obawach przed wspólną przyszłością we wspólnym domu (*Pisane w Budapeszcie*) wydaje się ciekawszy niż utyskiwania nad moralną nędzą polskiego „intello”, choć i tu nie brak banałów (zwłaszcza, gdy przychodzi do konkretyzacji urazów, nieufności i oporów przed zbliżeniem i współpracą). Wątkiem dominującym i najbardziej interesującym jest kwestia tożsamości narodów środka Europy, szczególnie przez historię doświadczonych, rozdzielanych czy wręcz ćwiartowanych przez politykę mocarstw. Rozbawiło mnie wszakże błędne koło rozumowań autora. Dystansuje się on mianowicie od pewnych zmistyfikowanych wyobrażeń tych narodów o własnych państwach jako skrzyżowaniu, pomoście, przedmurzu, by dojść w końcu do wniosku, że piękne i trwałe znaki tożsamości oferuje Polakom, Czechom i innym nacjiom peryferyjnym ich kultura i sztuka. Ta jednak konserwuje i przechowuje przede wszystkim owe mity o pomoście i przedmurzu, łącząc je z wyobrażeniem o historycznej niewinności własnych narodów! Jakże więc mamy kochać to, co powinniśmy z siebie raczej wykorzeniać?

Nie jestem także pewna, czy można tak globalnie mówić o tożsamości

Europy Środkowej, jeśli jest to pojęcie zależne raczej od zmiennej polityki niż niezmiennej geografii. Polacy, Czesi, Słowacy stanowią środek kontynentu dopiero od tego wieku, zaś Ukraińcy czy Białorusini wręcz od kilku lat. Może więc lepiej mówić o wspólnych doświadczeniach historycznych, które w dodatku bardziej antagonizowały te narody niż tworzyły wspólną środkowoeuropejską tożsamość, o czym krwιά i nienawiścią świadczy przypadek Jugosławii?

Zresztą za dwadzieścia lat Europa Środkowa to będzie po prostu kilka wygodnych szlaków tranzytowych znad Atlantyku na Syberię i do Chin. A za trochę więcej do miana państw Euroazji Środkowej pretendować będą Mongolia, Kazachstan, a może nawet Chiny, którym ponadto odwiecznie przysługuje honorowy tytuł „państwa środka”. Polacy zaś, jak zawsze, kpić będą z czeskiej małostkowości i przyziemności, a Czesi bez wdzięku ironizować będą nasz podejrzany romantyzm. Bo charakterzy narodów, a także ich przywiązanie do wyobrażeń o sobie i sąsiadach są niewiele bardziej zmienne od zmiennych geograficznych. I taka to będzie jeszcze długo nasza środkowoeuropejska tożsamość. Bo tak naprawdę, to jej w ogóle nie ma. Nawet aktem wiary jest tylko dla tych, którzy — jak Miłosz — wiarę taką pragną w sobie nosić.

Lidia Burska

Czyściec Böcklina

Kazimierz Wyka zaczynał książkę *Thanatos i Polska*, pisaną pod wrażeniem monograficznej wystawy Jacka Malczewskiego, zorganizowanej w Poznaniu na przełomie 1968 i 1969 roku, od stwierdzenia, że artysta ten przeszedł właśnie próbę czyśćca. Uważany za malarza nadmiernie literackiego, nachalnie niemal symbolistycznego, zyskiwał zrozumienie u odbiorców z innej zupełnie epoki. Poznańska wystawa Malczewskiego pojawiła się w tym samym czasie, kiedy czyściec opuszczała szerzej pojęta sztuka Młodej Polski, także jej literatura. Dziś wydaje się, że miejsce tego malarza w pejzażu nie tylko polskiej sztuki nie wymaga potwierdzenia. Dlatego niechętna zasadniczo reakcja angielskich krytyków na jego wystawę zorganizowaną przed kilkoma laty w londyńskim Barbicanie była dużym zaskoczeniem, wydawała się nieporozumieniem. Pokazywała